

Jasiński, Roman

Pierwsza inspekcja

Przegląd Pruszkowski nr 2, 38-43

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PIERWSZA INSPEKCJA



Roman Jasiński był z zawodu leśnikiem. Do wybuchu II wojny pracował w Białowieskim Parku Narodowym w bliskim kontakcie z profesorem Janem Jerzym Karpińskim znanym, zasłużonym działaczem ochrony przyrody.

Uczestnik wojny obronnej w 1939 roku, po klęsce wrześniowej przedostał się do Francji i znalazł się w 2 Dywizji Strzelców Pieszych pod dowództwem generała Bronisława Prugar-Ketlinga. Jednostka ta nie złożyła broni po kapitulacji Francji, lecz po ciężkich bojach przekroczyła granicę Szwajcarii.

Tam, wraz ze swymi towarzyszami broni, znalazł się w obozie dla internowanych, gdzie oprócz nauki, pracy i działalności kulturalno - oświatowej, prowadzono konspiracyjną akcję przetrwania przez granicę szwajcarsko - francuską grup uciekinierów z obozów jenieckich w Niemczech i z obozów internowanych w Szwajcarii. W porozumieniu z francuskim Ruchem Oporu uciekinierzy ci mogli przedostawać się do walczących na Zachodzie.

Powrócił do Polski w 1957 roku i podjął pracę na Śląsku, gdzie zyskał opinię jednego z najbardziej oddanych działaczy na rzecz ochrony przyrody w Polsce.

Drukowany poniżej fragment pochodzi z jego książki „Wrzesień pod Alpami” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1965 r.).

Nadszedł wreszcie ów pamiętny dla nas dzień, 27 lutego 1940 roku. Słońce zalewało potokami światła stare miasteczko francuskie Thenezay. Ulice lśniły czystością, wymiecione pracowitą i zapobiegliwą ręką polskiego żołnierza.

Stanęliśmy w dwuszeregu wyciągnięci jak struny, wpatrzeni w Wodza Naczelnego. Szedł szybkim krokiem przed frontem spieszonych baterii. Z otwartych na oścież okien domów posypały się kwiaty i zabrzmiały okrzyki: *Vive la Pologne! Vive le General Sikorski!*

Zatrzymał się na chwilę, jakby chciał odpowiedzieć witającej go francuskiej ludności cywilnej, ale widocznie postanowił inaczej, bo odwrócił się do nas i donośnym głosem pozdrowił wyprężone szeregi żołnierskie:

- Czołem, artylerzyści!
- Czołem, Panie Generale!

Okrzyk nasz zahuczał i odbił się stokrotnym echem pośród wąskich uliczek francuskiego miasteczka.

Po przywitaniu z nami generał podziękował ludności francuskiej za kwiaty i okazaną sympatię, a potem podszedł do nas i wdał się w pogawędkę z żołnierzami.

Wziął pod ramię najbardziej chłopięco wyglądającego szeregowca, Józika, i zapytał:

- No, cóż „stary” żołnierzu, jakie masz pragnienie?

Józik zarumienił się i wyprostowany jak struna, bez zająknięcia, chociaż z emocji drżał mu głos, odparł:

- Buty, panie Generale.

Generał Sikorski spojrział na ogromne buty żołnierzyka i roześmiał się serdecznie, a zwracając się do otaczającej go świty oficerów francuskich i polskich powiedział:

- Słyszeliście? Buty to jest odwieczny i najważniejszy problem żołnierza.

A potem zwracając się do młodzika, z poważną miną powiedział:

- No cóż, dostaniesz nowe buty, ale czyżeś na nie zasłużył?

Józik nerwowo pociągnął za zwisającą szeroką nogawicę spodni i pokazując ślad po świeżej ranie, powiedział z dumą:

- Panie generale, to pod Lwowem, w walce z niemiecką dywizją pancerną.

Po twarzy generała przebiegł skurcz i kładąc mu rękę na ramieniu, dziwnie miękkim głosem powiedział:

- Jesteś starym wiarusem, chociaż młody wiekiem. Tacy jak ty będą Polsce potrzebni.

A potem zwrócił się do nas. W pewnym momencie podnosząc głos - jak do wydawania rozkazów - powiedział:



Finie la guerre! - krzyżeli Francuzi i poddawali się Niemcom

- Żądam od was charakteru, wytrwania i cierpliwości. Myślcie o przyszłości, która nie będzie ani wynikiem cudu, ani podarunkiem obcych, ale dziełem ludzi mocnych, wśród których i wy znaleźć się musicie.

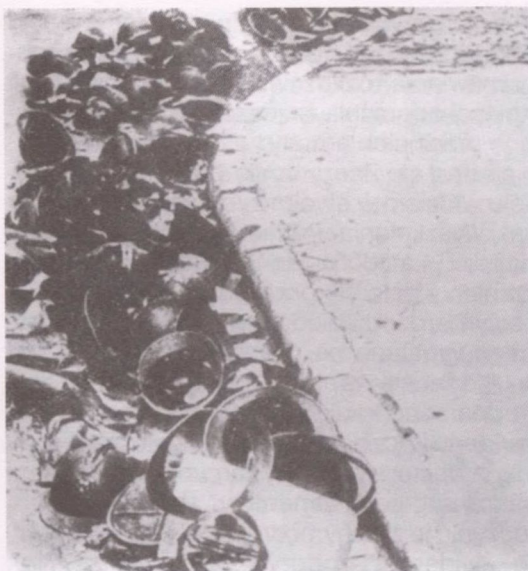
Po wizycie naczelnego wodza, generała Sikorskiego, Warszawski Pułk Artylerii

Lekkiej w dniu 18 marca 1940 roku otrzymał pierwsze armaty.

Wyruszyliśmy na stację kolejową La Ferriere, odległą od nas o 8 km, będąc pewni, że armaty dostaniemy z ciągnikami. Szoferzy ruszyli ze śpiewem, zacierając ręce i podkpiwując z „koniarzy”, jak drwiąco nazywali wyznaczonych w baterii na wszelki wypadek jezdnych. W drodze targowano się głośno, czy będą to „Renault” czy też „Citroën”. Po przybyciu na miejsce francuski oficer łącznikowy zaprowadził nas na plac, gdzie stały rzędem armaty z przodkami i jaszczce na amunicję, w stanie... na widok którego ogarnęła nas rozpacz. Działa miały wybite na lufach roczniki 1914, a jedno najmłodsze, które przypadło mojej baterii, było z roku 1916. Lufy nadźarte rdzą. Jaszczce amunicyjne po załadowaniu pocisku z reguły nie zamykały się. Dziury w przodkach były zaklejone tekturą i zamalowane zieloną i żółtą farbą. Ciągników ani koni lub innego środka pociągowego, który by przewiózł nasze armaty to Thenezay, nie było. Francuski oficer łącznikowy zaraz ulotnił się, zabierając ze sobą dowódcę baterii, aby pokwitował otrzymane uzbrojenie. Popatrzyłem na żołnierzy. Stali speszeni i smutni, spoglądając bez entuzjazmu na przydzielony sprzęt. Nie można było czekać, aż nastąpi jakiś wybuch wściekłości.

Ktoś krzyknął: „Chłopak, brać sznury i jazda, zapchamy armaty na miejsce!” Pierwszy Malinowski z synem oraz dwóch innych kanonierów poderwał zaprzęg (armata z przodkiem), który ruszył z miejsca gwałtownie. Przednie koło podskoczyło na wyboju i działo wyjechało na szosę z głośnym hurkotem żelaznych obręczy kół.

- Proszę państwa, uwaga! - wrzasnął Władek, syn Malinowskiego. Podniosłem głowę znad koła popychanej armaty i zobaczyłem jak para



Wzdłuż dróg i ulic stały armaty, leżały helmy i oporządzenie żołnierzy francuskich

starsuszków pośpiesznie ucieka do rowu, wymachując rękami i lamentując: - *Olala! Mon Dieu! Mon Dieu!*

Podszedłem do Francuzów, aby ich uspokoić, a oni stali w rowie i z podziwem przyglądali się tym ludziom krzyżącym i mówiącym niezrozumiałym dla obojga językiem. Wreszcie uspokoił się na tyle, że starsuszek odważył się zapytać:

- *Monsieur*, co to za naród?

- Polacy - odpowiedziałem.

- I co, nie dali wam koni, żeby ciągnęły armaty?

- Nie dali, ale będziemy je mieli niebawem - zapewniłem starsuszkę. Ale ci pokręcili głowami, a mężczyzna kilka razy powtórzył:

- To źle, to bardzo źle.

Nie miałem czasu wdawać się w dłuższą rozmowę, aby zapytać starsuszków, dlaczego tak bardzo źle, bo już wrócił kpt. Korabiowski i skrzyknąwszy koło siebie paru ludzi, wypchnął jaszcz amunicyjny na szosę. Za nim ruszyły inne działony. Teraz już poszło gładko. Rozochoceni kanonierzy na wyścigi pchali skompletowane działony. Armaty jakby zdumione, z ciężkim turkotem toczyły swe zabrudzone cielska po asfaltowej szosie Francji, pchane rękami polskich żołnierzy.

Po przybyciu na kwatery odbył się chrzest armat. Działon pierwszy otrzymał dla swej armaty, za zgodą załogi, imię mojej córki - „Danusia”, dla działonu drugiego przypadła „Łucja”, dla działonu trzeciego „Wita”, a dla działonu czwartego „Maria. Mając własnego puszkarza, przystąpiliśmy do generalnego czyszczenia i doprowadzenia do porządku przydzielonego nam sprzętu. Po paru dniach armaty błyszcząły czystością, a wymalowane czerwoną farbą na tarczach osłonowych imiona prezentowały się świetnie i dodawały uroku.

Ale Niemcy, umiejący wykorzystać każdą okazję dla swojej propagandy, nie próżnowali. Radiostacja niemiecka we Wrocławiu nadała w języku

polskim audycję dla naszych żołnierzy, wyśmiewając w niej organizację francuską, a jako dowód - spiker opowiedział historię o ciągniętych sznurami armatach nawołując do odmawiania rozkazów. Żołnierze nasi śmiały się głośno i ściskając dłonie w pięści odgrzali, że jeszcze Niemcy poczują na własnej skórze wyśmiewane przez nich armaty.

Wreszcie otrzymaliśmy konie i uprząż. Zaczyna się gorączkowe szkolenie ludzi, spośród których wielu widziało w swoim życiu konie tylko przy dorożkach, ale zapał pokrył braki wyszkolenia. Pamiętam, jak byłem zmuszony z żołnierzami - rolnikami poić i karmić przez 3 dni 200 przydzielonych nam świeżo koni. Wielu żołnierzy bało się podejść do „dzikich stworzeń”, jak je nazywano. Konie były bardzo zabiedzone i podrażnione złośliwą formą znakowania. Numery wypalano na piersiach nieszczęsnych stworzeń i to w miejscu, gdzie układał się napierśnik pociągowych szlei. Nic też dziwnego, że obolałe i odparzone konie stały się złośliwe, kąsające i wierzgające. Ten system ewidencji pozbawił nas na jakiś czas prawie 50% siły pociągowej. Biegaliśmy z doktorem weterynarii, ppor. Grussem, od rana do wieczora z wielką skrzynią medykamentów, aby chociaż trochę ulżyć biednym szkapom i uczynić je zdolnymi do pracy.

Kiedy wreszcie rany zadane „ewidencją” podgoiły się trochę i zaschły, zaczęliśmy siodłać konie. Dowódca i dwaj oficerowie baterii, ciągle wzywani na różne odprawy i szkolenia, nie byli w stanie nam pomagać. Toteż ciężar wyszkolenia spadał wyłącznie na podoficerów. Muszę przyznać, że pierwsze siodłanie koni odbyło się, mimo że na objaśnienie czasu nie było, względnie sprawnie. Nasi szoferzy z różnych taksówek warszawskich, łódzkich czy krakowskich koniecznie chcieli mieć łęg przedni z tyłu, a po-pręgi zapinali w ten sposób, że kiedy wydałem pierwszą komendę - „na koń”, prawie trzecia część z ogólnej liczby kanonierów znalazła się razem z siodłami pod końmi, ku przerażeniu jednych i drugich, powodując niesłychane zamieszanie. Działonowi uganiali się wokół baterii poprawiając, chwalać lub ganiać, z cierpliwością godną najlepszej niańki.

Ruszyliśmy. Póki konie szły stępa, wszystko było w porządku, ale kiedy dojechaliśmy do łączki, przeznaczonej na nasz teren ćwiczeń, i ruszyłem klusem, bez mała połowa jeźdźców znalazła się na ziemi, na szczęście bez szwanku. Manewr powtórzyłem i po paru godzinach wszyscy, chociaż zmęczeni, trzymali się w siodłach i tylko dwóch jeszcze nie mogło sobie dać rady z wodzami. Wodze munsztukowe wyłączyłem, bo na pewno konie miałyby pokaleczone pyski, mając tak „wspaniałych” jeźdźców na swych grzbietach. Na szczęście, jak już wspomniałem, zapał robił więcej niż ćwiczenia. Stopniowo żołnierze siedzieli coraz pewniej w siodłach.

Po otrzymaniu armat i koni zaczęto wyposażać nas w pozostały sprzęt, a jak to wyglądało, to wystarczy przytoczyć kilka cyfr. Jako dodat-

kowe wyposażenie baterii, wyruszającej do strefy przyfrontowej, poza 4 działami 75 mm, wydano nam 2 cekaemy, z których jeden w mojej baterii miał sworzeń od tyłcy zablokowany i w razie zacięcia stawał się bezużytecznym gratem, przedstawiając mniejszą wartość niż kawałek kija. Oprócz tego pobrałem dla baterii 24 karabiny ręczne i jeden bagnet. Cel, do jakiego miał służyć ten bagnet, nie jest dla mnie zrozumiały po dziś dzień. Jako dodatkowe uzbrojenie otrzymaliśmy jeden pistolet bębnowy o kal. 13 mm z 3 nabojami! Celem jego miało być, jak to dowcipnie określił weterynarz naszego dyonu, dobijanie koni chorych na kolkę. Muszę tu uzupełnić swoje dane tym, że jeszcze na każde działo otrzymaliśmy po 120 pocisków, co w przeliczeniu na możliwości ogniowe naszych 75 mm armat, wynoszące 12 pocisków na minutę, mogło starczyć na 10 minut artyleryjskiego ognia. Ażeby mieć pełniejszy obraz wartości otrzymanego sprzętu należy dodać, że po załadowaniu pocisków - nie mogliśmy zamknąć jaszczy, a więc w razie jakiegoś wypadku z kołem czy szybkiego odprzodkowania - amunicja mogła się znaleźć na ziemi, co z kolei groziło jej wybuchem. Ale i to nas nie zrażało. Ważne było to, że mieliśmy broń i nadzieję na zwycięstwo.

Tak wyglądało nasze uzbrojenie we Francji w chwili wyruszenia na front.

Przed wyjazdem z Thenezay przybył na inspekcję generał francuski, dowódca okręgu. Nazwiska jego nie pamiętam, ale za to pamiętam, że zachwycony naszą postawą i pięknym pokazem ćwiczeń zespołowych przy działach, wygłosił do nas dłuższe przemówienie, w którym między innymi powiedział: „Jesteście wprawdzie dziećmi Polski, ale na ziemi francuskiej będziecie Jej dziećmi. Francja nigdy Waszego czynu i poświęcenia nie zapomni”.

